Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca DO NABYCIA U KOLPORTERÓW PISM i W KIOSKACH „RUCHU" Cena 20 gr.

ECHO SPOŁECZNE

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM I PRACOWNICZYM

Nr. 21 WARSZAWA - 1 LISTOPADA 1936 R. ROK V

O RZECZY WIELKIE

Szczątkową pozostałością czasów zaborczych, tkwiącą jak kolec lub drzazga w naszej rzeczywistości jest skłonność do partykularyzmu, do zamykania się w małych zakamarkach. W dusznym klimacie niewoli odbierano nam możność szerokiego oddechu, tłumiono przez wiek cały i wszelkimi sposobami pragnienie bytowania na wyżynach. Tylko stosunkowo niewielki odłam społeczeństwa, zbuntowany przeciw obcemu ciemięstwu i przemocy w różnych postaciach i we wszystkich dziedzinach życia polskiego, ogarniał szerokie widnokręgi, wzbijał się nad poziomy i porywał się na rzeczy, które w świadomości warstw biernych lub pasorzytujących i pogodzonych z kratami duchowej i politycznej niewoli, wydawały się szaleństwem, wywoływanem podszeptami złych mocy.

Jeżeli chodzi o świat pracowniczy, to ta skłonność do partykularstwa i to zamiłowanie do trwania na ciasnych i wąskich podwórkach, jest napewno jedną z przyczyn, dlaczego nas trzymają w przegrodach aż kilku tysięcy związków zawodowych, kiedy w całej Polsce wystarczyłoby ich kilkanaście, czy kilkadziesiąt. Temat ten był już niedawno podjęty i wyczerpująco oświetlony w kilku rzeczowych artykułach na łamach Echa Społecznego. Słuszna teza, śmiało postawiona przez to pismo głoszące, że siła pracowników spoczywa w konsolidacji związków zawodowych, nie wymaga tutaj dodatkowych, uzupełniających komentarzy, i jeżeli nawiasem poruszamy tę sprawę, to jedynie dlatego, że z zagadnieniem zjednoczenia wiąże się bezpośrednio niemal inne, równie ważne zagadnienie. Chodzi mianowicie o prasę zawodową, która podobnie jak nasze związki ubezpieczeniowe jest podzielona, rozbita, rozproszkowana i wskutek tego oddziaływanie jej na umysły jest bardzo problematyczne.

Dość powiedzieć, że mamy w Polsce około tysiąca dwustu pism zawodowych, z których niewielka tylko część spełnia jako tako swoje zadanie i usprawiedliwia w ten sposób swoje istnienie. Olbrzymia większość zaś wiedzie suchotniczy żywot, uwidoczniający się zarówno w zewnętrznej formie, jak i w istotnej treści pisma. Ubóstwo wyziera z każdego niemal wiersza i orgje jedynie święci grafomaństwo niczem nieokiełznane. Biorąc taki „organ zawodowy" do ręki, człowiek nieraz w głowę zachodzi, poco to wychodzi i komu to jest potrzebne. Trzymają się one niewątpliwie w większości wypadków fałszywą ambicją kierownictwa, która swój wyraz jaskrawy znajduje przedewszystkiem w tytule i w podpisie na dwukolumnowym świstku: „Redaktor", co każe się domyślać, że tą pustkę duchową i bezkrwistość treści, oprócz naczelnego, tworzy jeszcze kilku redaktorów.

I w gruncie rzeczy cała ta ambicja nikomu by nie przeszkadzała i cała ta zabawa w redaktorów byłaby niewinna, gdyby nic nie kosztował druk, papier, honoraria i t. d., i gdyby koszta wydawnicze nie były zabójczo nieproporcjonalne do korzyści, które płyną z istnienia takiego pisemka zawodowego. Ale przecież środki na to łoży nie redaktor naczelny, lecz stowarzyszenie lub związek, które muszą wobec swoich członków legitymować się z wydatków i usprawiedliwiać ich celowość.

Nie może też być obojętna sprawa fachowego prowadzenia pisma, zarówno pod względem doboru i układu treści, jak i pod względem zewnętrznym, graficznym, co w olbrzymiej większości wypadków też wiele pozostawia do życzenia. Dyletanckie, najczęściej jeszcze dorywcze spełnianie obowiązków i czynności redaktorskich fatalnie odbijać się musi na wartości takiego pisemka prowadzonego bez planu, bez zapasów materiału odpowiedniego, co powoduje nieraz gorączkowe poszukiwanie artykułów, niemal w przeddzień wyjścia numeru. Ale, przypuśćmy nawet, że te wszystkie względy odpadają i że pisma zawodowe odpowiadają wymaganiom i potrzebom czytelników, to i wtedy pozostają jeszcze w mocy te same i te wszystkie zarzuty, które wyliczono w Echu Społecznym pod adresem związków, równorzędnie i niepotrzebnie istniejących w znacznej liczbie w jednym środowisku pracowniczym.

Pieniądze składkowe, wyciskane z wyzyskiwanych, źle uposażonych pracowników, powinny być używane nie tylko możliwie najoględniej, ale także w sposób najbardziej celowy i z największą korzyścią dla związkowców. Tymczasem doświadczenie tej zasadzie przeczy, bowiem łożenie zarówno na utrzymywanie zgoła niepotrzebnych siedzib nieżywotnych związków, jak i na wydawanie pism związkowych małej wartości, jest wydatkiem nieprodukcyjnym i niemoralnym. Jedno i drugie ze stanowiska ogólnych interesów pracowniczych jest szkodliwe jeszcze z tych względów, że podtrzymuje i utrwala stan rozbicia i podziału na skłócone między sobą grupki, co stanowi zaprzeczenie konsolidacji i pracowniczej solidarności.

Nawet dla niewtajemniczonych jest rzeczą zupełnie jasną, że pogodzenie i zogniskowanie zarówno materialnych środków, jak i moralnych sił pracowniczych dla wspólnego celu daje nierównie większą rękojmię powodzenia, niż dłubanie na partykularzach i zadowalanie się jałowem i małodusznem współzawodnictwem z grupą z przeciwka.

Podobnie te rzeczy wyglądają, jeżeli chodzi o prasę związkową. Z bardzo nielicznemi wyjątkami pisma zawodowe wskutek braku materialnych środków i nie dość fachowego prowadzenia zgoła nie odpowiadają swojemu przeznaczeniu i nie mogą zadowolić ani umysłowych ani nawet zawodowych potrzeb swoich czytelników.

Dążenie do konsolidacji, które ostatnio swój wyraz znalazło w zjednoczeniu 41 związków pracowników umysłowych, obejmujących dwieście tysięcy ludzi, świadczy poza wszystkiem o chęci porzucenia dotychczasowych partykularnych stanowisk. Na dalszych etapach tego naturalnego procesu konsolidacyjnego wyłoni się niewątpliwie zagadnienie prasy zawodowej, która by odpowiadała wzrastającym potrzebom tego zjednoczonego świata pracy, wynikającym obecnie zarówno z poczucia siły organizacyjnej, jak i siły moralnej, promieniującej z ogniska paru setek tysięcy pracowników umysłowych.

Echo Społeczne, mając świadomość tego procesu i uznając w pełni konieczność podnoszenia i doskonalenia prasy zawodowej, oraz doceniając jej wielką rolę społeczną, uważa za swój obowiązek podnieść wyraźnie teraz zagadnienie połączenia wszystkich żywotnych organów zawodowych. Stawiając dziś zagadnienie stworzenia wielkiego organu zawodowego, który by obejmował całą inteligencję pracującą, mamy przekonanie, iż służymy dobrej sprawie i że jesteśmy wyrazem pragnień i dążeń wszystkich uspołecznionych żywiołów w naszem środowisku. Nie pretendując tutaj do żadnego kierowniczego stanowiska, ani też nie podnosząc i nie zalecając naszego organu, jako głównego w przyszłości, gotowi jesteśmy czynnie rękę przyłożyć do stworzenia tego wielkiego dzieła, licząc się nawet z faktem, że „Echo Społeczne" może być w tym wypadku wchłonięte.

Studium Nauk Społecznych

Komplikujące się coraz bardziej życie społeczne stawia dzisiaj działaczowi społecznemu wymagania, którym bez odpowiedniego przygotowania najczęściej nie jest on w stanie podołać. W związku z tym I. O. P. podejmuje inicjatywę zorganizowania specjalnego Studium Nauk Społecznych na wyższym poziomie, jako placówki naukowej o charakterze dokształcającym dla osób biorących czynny udział w życiu organizacyj pracowniczych. Wchodzą tu w rachubę następujące grupy działaczów pracowniczych:

Czynni członkowie związków zawodowych,

Sekretarze organizacyj pracowniczych,

Redaktorzy i współpracownicy prasy pracowniczej,

Kierownicy placówek kulturalno-oświatowych,

Kierownicy placówek społeczno-gospodarczych,

Osoby postronne, interesujące się naukami społecznymi, mogą być dopuszczone przez kierownictwo Studium.

Dyrekcja I. O. P. zaprosiła do współpracy wykładowców nauk społecznych na wyższych uczelniach. Osoby te stanowią radę, decydującą w porozumieniu z I. O. P. o stronie naukowej i dydaktycznej Studium.

Program obejmuje następujące działy:

A. Przedmioty wykładane:
Socjologia,
Ekonomia społeczna,
Polityka społeczna,
Historia ruchów społecznych.

B. Aktualne zagadnienia życia zbiorowego (dyskusje).

C. Poradnictwo z zakresu czytelnictwa, pomoc naukowa, czytelnia.

Organizacja studiów:

Studium trwa 2 lata. Słuchacz zostaje przyjęty po osobistym porozumieniu się z kierownikiem Studium, Warszawa, Marszałkowska 129. Wykłady odbywają się w godzinach wieczorowych trzy razy w tygodniu. Poza tym raz na tydzień wieczór dyskusyjny przy udziale wybitnych znawców poszczególnych dziedzin życia pracowniczego. Od drugiego półrocza poczawszy obowiązuje słuchaczów praca w seminarium, prowadzonym wspólnie przez grono profesorów dla ogółu słuchaczów.

Do programu wchodzą wycieczki naukowe pod kierunkiem profesorów.

PAMIĘTAJCIE, że w akcji Ogólnopolskiego Komitetu Niesienia Pomocy Najbiedniejszym bierze udział CAŁE SPOŁECZEŃSTWO

Prawo walki o byt jest prawem istnienia życia w świecie

J. Piłsudski.

JAN ZAWADZKI

NIE TĘDY DROGA...

(Z rozważań o ubezpieczeniach społecznych)

Rok temu zamieściłem w „Przeglądzie Ubezpieczeń Społecznych" artykuł, zawierający garść uwag o racjonalizacji ubezpieczeń społecznych w Polsce (Przegląd Nr. 11 — listopad 1935 „Po reformie — przed reformą"). Artykuł ten został zakończony następującymi słowy: „Właściwie więc reforma ubezpieczeń społecznych nie jest ukończona. Pozostaje wiele jeszcze do zrobienia w dziedzinie przede wszystkim racjonalizacji świadczeń i administracji"...

Rok minął — długi okres czasu. Co zdziałano w dziedzinie ubezpieczeń społecznych, czy zaszły jakie poważniejsze zmiany, świadczące o planowej rozbudowie ubezpieczeń, względnie o zamierzeniach w tym kierunku skierowanych?

Analizując obecny stan ubezpieczeń społecznych w Polsce, musimy niestety stwierdzić, że istotne braki ubezpieczeń społecznych w Polsce, rozpatrywane z punktu widzenia racjonalizacji i celowości, nie zostały usunięte, że w tej tak ważnej dziedzinie polityki społecznej panuje i nadal chaotyczna bezplanowość, zagrażająca nawet częstokroć prawidłowemu funkcjonowaniu tych ubezpieczeń.

W ubezpieczeniu na wypadek choroby wskutek ustalenia w ustawie o ubezpieczeniu społecznym zbyt niskiej składki na to ubezpieczenie, oraz z powodu licznych zwolnień z obowiązku ubezpieczenia (dekret Prezydenta Rzplitej z 24 października 1934 r.) najlepszych ryzyk — pracowników umysłowych, zarabiających powyżej 725 zł. miesięcznie i t. p., co wywołało dalsze zmniejszenie się wpływów składkowych tego ubezpieczenia, sytuacja finansowa jest taka, że obniżanie wydatków na świadczenia ubezpieczeniowe stale postępuje. A jakie to konsekwencje pociąga taka polityka świadczeniowa, zmierzająca do leczenia mniejszej liczby ubezpieczonych, nawet ciężej chorych, i redukująca wydatnie czasokres udzielanych świadczeń! Skutkiem takiej polityki jest i będzie rozgoryczenie ubezpieczonych, osłabienie siły obronnej Państwa, anormalny wzrost liczby inwalidów-rencistów w przyszłości. Że taka jest rzeczywistość ubezpieczenia chorobowego, że nie jest przesadne, ani gołosłowne twierdzenie, przekonać się można z publikacji statystycznych Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Badając opublikowaną, wiosną bieżącego roku, statystykę chorobową za lata 1930 — 1934, dowiadujemy się bardzo smutnej rzeczywistości a mianowicie, że liczby względne ubezpieczonych ciężej chorych t. j. niezdolnych do pracy zmniejszają się stale, na 100 bowiem ubezpieczonych było chorych i niezdolnych do pracy w 1930 r. 31,73 osób, w roku 1933 — 25,55 osób, a w 1934 r. zaledwie 19,67, zachorzeń zaś połączonych z niezdolnością do pracy było w 1930 r. — 46,59, w 1933 r. — 39,64, a w roku 1934 tylko 29,62.

Zmniejszają się także przeciętne liczby dni zasiłkowych, wzgl. szpitalnych, przypadających na jednego ubezpieczonego (w roku 1930 — 6,52 dni, w 1934 r. — 3,51); na jedno zaś ciężkie zachorowanie przypadało dni zasiłkowych wzgl. szpitalnych w 1930 r. — 13,99, w 1934 r. zaś — 11,85 dni. Wymowa tych cyfr jest niezwykła, świadczy bowiem między innymi o tym, że z chwilą zmienienia samorządu instytucyj ubezpiecz. chorobowego zachorowalność maleje i to stale, a na to miejsce w czasie niezwykle silnego kryzysu gospodarczego, gdy zazwyczaj następuje wzrost, a nie zmniejszenie zachorowalności. Możemy być istotnie dumni z tego faktu, że odnośne polskie cyfry względne zachorowalności, liczby dni zasiłkowych, wzgl. szpitalnych, przypadających na jednego ubezpieczonego, przeciętnej liczby dni cięższej choroby i t. p. są znacznie niższe, niż podobne dni zagraniczne (niemieckie, czechosłowackie i austriackie), choć powinno być właśnie odwrotnie, biorąc pod uwagę przy porównywaniu tych zjawisk, lepsze znacznie warunki higieniczne za granicą, oraz wyższe płace.

Spadają także konsekwentnie i przeciętne świadczeniowe wydatki roczne na jednego ubezpieczonego np. na leczenie szpitalne, które wynosiły (p. artykuł D-ra J. Bujalskiego w Nr. 9 „Przeglądu" bież. roku) w 1934 r. — 13,80 zł., w 1935 r. — 12,02 zł., a na rok bieżący preliminowano w kwocie 10,97 zł. na jednego ubezpieczonego. Dr. Jerzy Bujalski, uzasadnia to zjawisko koniecznościami budżetowymi, nie jest jednak ten argument przekonywający, albowiem leczenie szpitalne, obejmujące przeważnie cięższe zachorzenia, musi być stosowane zawsze w koniecznych przypadkach i na tym leczeniu oszczędzać nie powinno się. Z wymienionego artykułu D-ra Bujalskiego p. t. „Uwagi o lecznictwie zakładowym w ubezpieczeniu na wypadek choroby" okazuje się (cytując dosłownie) „że statystyka ruchu świadczeń za lata poprzednie (przed 1935) nie była zorganizowana, że ubezpieczalnie nie prowadzą jeszcze statystyki ruchu chorych, że brak odpowiednich materiałów, a przede wszystkim liczby chorych w ubezpieczalniach i dni leczenia zakładowego (szpitalnego), nie pozwala dać przekrojów najważniejszych, zdecydowanie oświetlających zagadnienie lecznictwa szpitalnego, pozwala też na wyciągnienie wniosków podstawowych dla administracji tym świadczeniem. Dowiadujemy się więc z tego artykułu, że wadliwie była i jest zorganizowana statystyka ubezp. chorobowego, chociaż statystyka w każdej administracji ubezpieczeniowej jest dziełem niezwykle ważnym, bez dokładnej i dobrej bowiem statystyki, nie może być wogóle mowy o dobrej administracji t. j. o świadomym i planowym realizowaniu pewnych celów. Statystyka wogóle jest przecież kamieniem węgielnym każdej celowej działalności ludzkiej, jest, mówiąc słowami D-ra Bujalskiego, „sumieniem życia".

Już z tych przytoczonych przykładów i danych cyfrowych można wnioskować, a nawet należy, że ubezpieczenia chorobowe funkcjonują źle i wymagają dużej naprawy zarówno w dziedzinie przepisów zasadniczych (ustalenie właściwej składki i t. p.), jak i w dziedzinie organizacyjnej - administracyjnej: racjonalna organizacja lecznictwa, odbiurokratyzowanie i stworzenie dobrego aparatu administracyjnego i t. p. Można również stwierdzić, że w roku bieżącym w dziedzinie ubezpiecz. chorobowego nic nie zdziałano, jest status quo, żadnych ulepszeń, żadnych dążeń do racjonalizacji tego ubezpieczenia, ale dobre i to. niema przynajmniej ruchu wstecznego, czego nie można znów powiedzieć o ubezpieczeniach długoterminowych (rentowych).

W dziedzinie ubezpieczeń długoterminowych zasługuje na baczną uwagę przejściowa wprawdzie, reforma dokonana dekretem Prezydenta Rzplitej z dnia 14 stycznia 1936 r. (Dz usatw Nr. 3). Dekret ten obniża czasowo (od 1/2 1936 do 31/12 1937) składki na ubezpieczenia emerytalne (pracowników umysłowych i robotnicze). oraz na ubezpieczenie wypadkowe. Tu należy podkreślić, że ubezpieczenia długoterminowe (zwłaszcza emerytalne ubezpieczenie inwalidztwa, na starość i na wypadek śmierci), oparte są zazwyczaj na przeciętnej składce i w takiej wysokości, by świadczenia płynne wzgl. także i uprawnienia ubezpieczonych, miały pokrycie w odpowiednich kapitałach rezerwowych, z czego znów wnioskować należy, że zniżenie składki w tych ubezpieczeniach może nastąpić tylko wówczas, gdy ma się bezwzględną pewność, że stan finansowy ubezpieczań na to zezwala, albowiem inaczej, nie tak ostrożnie ustępując, można spowodować w niedalekiej przyszłości albo znaczne podwyższenie niesłusznie zredukowanej składki, lub też redukcję świadczeń bądź wreszcie jedno i drugie.

Wymieniony dekret Prezydenta Rzplitej obniżył wysokość składki w ubezpieczeniu emerytalnym robotniczem o 1% policzonego od ubezpieczenia zarobku (zamiast 5,2% wzgl. 5,8%, składka będzie wynosiła 4,2% (wzgl. 4,8% zarobku), w ubezpieczeniu emerytalnym pracowników umysłowych o 1½% policzalnego do ubezpieczenia wynagrodzenia (zamiast 8% — 6½%). — Na uwagę zasługuje także fakt, że obniżając składkę na ubezpieczenie emerytalne robotników, nie naprawiono równocześnie krzywdy wyrządzonej ubezpieczonym robotnikom ustawą scaleniową, zawierającą przepis, że część składki robotnika na to ubezpieczenie jest wyższa o przeszło 50% od części składki odnośnej, przypadającej na pracodawcę. Przepis ten jest unikatem prawie w dziedzinie analogicznych przepisów ustawowych.

W ubezpieczeniu wypadkowym, na mocy pełnomocnictwa udzielonego tym dekretem Ministrowi Opieki Społ., tenże Minister rozporządzeniem obniżył składkę, przeciętnie o 10%.

Obniżka składek w ubezpieczeniach długoterminowych w Polsce nie była wskazana, a zwłaszcza w ubezp. emerytalnym pracowników umysłowych gdyż ubezpieczenie to, co jest powszechnie znane, nie było i nie jest oparte na technicznie wystarczających podstawach finansowych. Opierając się na danych statystycznych, publikowanych w „Przeglądzie Ubezp. Społ." można twierdzić, że przepis składek w ubezpieczeniu emerytalnym pracowników umysłowych wskutek obniżki składki zmniejszy się w stosunku rocznym o kwotę 13 milionów złotych (p. „Przegląd" Nr. 8 str. 613 przypis składek za luty 1936 r.), w najbliższej więce przyszłości należy się liczyć z prawdopodobieństwem, że wpływy ze składek wystarczą już zaledwie na pokrycie wydatków świadczeniowych i kosztów administracyjnych, na kapitały zaś rezerwowe z wpływów składkowych tego ubezpieczenia nie można będzie odkładać, co nie należałoby do pomyślnych obiawów, zwłaszcza gdy się weźmie pod uwagę, że ubezp. emerytalne pracowników umysłowych w Polsce stosunkowo jest młode (w całym państwie od 1928 r.) i że dłużej znacznie istniejące ubezp. pracowników umysłowych w Niemczech (od roku 1913) odkłada na rezerwy około 25% wpływów składkowych rocznie (w końcu 1935 r.)

W ubezpieczeniu zaś wypadkowym, gdzie również zniżono składkę, dysproporcja między wpływem faktycznym składek a wydatkami na świadczenia jedynie, nie uwzględniając kosztów administracyjnych, preliminowanych na rok bieżący w kwocie przekraczającej 8 milionów złotych, wywołać musi niepokój, gdyż według danych Przeglądu (p. wyżej) wpływy ze składek i wskutek zwłoki na to ubezpieczenie, wyniosły w lutym 1936 r. kwotę 3,397 tysięcy złotych, a wydatki na świadczenia w tymże miesiącu wchłonęły kwotę znacznie wyższą — 3,796 tysięcy złotych, w miesiącu zaś maju 1926 r. wydatki na świadczenia wyniosły kwotę 4,105 tysięcy złotych, gdy faktyczne wpływy składek i odsetek zwłoki wyniosły zaledwie kwotę 3105 tys. zł. tj. wydatki tylko na świadczenia były w maju b. r. o milion złotych wyższe, niż wpływy. („Przegląd" Nr. 10 br. str. 750, 751), —

Z powyższego widzimy, że zarządzenia, zmierzające do obniżenia tak zw. "ciężarów społecznych" w dziedzinie ubezp. społ., choćby nawet krótkotrwałe i przejściowe, nie będąc uzasadnione faktycznym stanem finansowym długoterminowych ubezp. społ. w Polsce, ubezpieczeniom tym nie korzyść, lecz szkodę przyniosły.—

Każdy, kto bada rozwój ubezpieczeń społecznych, bezsprzecznie przyznać musi, że zagadnienie form organizacyjnych tych ubezpieczeń jest zagadnieniem zasadniczym. W Polsce ustawa o ubezpieczeniu społecznym, zagadnienia organizacji ubezpieczeń społ. rozwiązała nagół dobrze stwarzając dla wszystkich rodzajów ubezpieczeń jedną, pod stawową komórkę organizacyjną — ubezpieczalnię społeczną Ustawę scaleniową uzupełnił wreszcie dekret październikowy z 1934 r., stwarzając zamiast Izby Ubezp. Społ. i czterech Zakładów Ubezpieczeń — jeden centralny Zakład Ubezpieczeń społ. (Z. U. S.). — Polska koncepcja scalenia organizacyjnego ubezpieczeń jest najkonsekwentniejszą i najlepszą koncepcją scaleniową gdy się ją porówna z podobnym scaleniem organizacyjnym ubezp. dokonanym po wojnie w państwach środkowoeuropejskich (Jugosławia, Węgry, Czechosłowacja, Austria).

(dalszy ciąg na str. 3-ej)

Rozszerzenie akcji

zasiłkowej i profilaktycznej ubezpieczalni

W związku z opracowaniem nowego preliminarza budżetowego ubezpieczalni społecznych na rok 1937. Zakład Ubezpieczeń Społecznych polecił ubezpieczalniom przestrzegać, aby wszystkie konieczne wydatki znalazły pokrycie w preliminowanych dochodach.

Wydatki mają być preliminowane z najdalej idącą i racjonalną oszczędnością. Zasadę oszczędności ubezpieczalnie społeczne zastosować mają przede wszystkim w zakresie tych wydatków, które nie wpływają na rodzaj i jakość świadczeń ubezpieczeniowych.

Uzyskane oszczędności mają być przeznaczone na poprawienie świadczeń udzielonych ubezpieczonym, a w szczególności na zwiększenie wydatków na zasiłki, oraz na podniesienie poziomu lecznictwa profilaktycznego, zwłaszcza w zakresie kolonii i półkolonii dla dzieci.

Imre Ungar w radio

Publiczność warszawska przypomina sobie dobrze pierwszy występ niewidomego pianisty węgierskiego, Imre Ungara na Konkursie Chopinowskim. Od tego czasu jest Ungar stałym gościem w Polsce, zjeżdżając do nas na występy w każdym sezonie koncertowym. Tym razem zaprosiło Polskie Radio węgierskiego gościa na środę 4 listopada godz. 21.00. Imre Ungar wystąpi w wieczorze chopinowskim, jako jeden ze słynnych artystów zagranicznych, którzy biorą udział w tegorocznym radiowym cyklu chopinowskim.

W jesienny wieczór...

W okna pokoju samotnika bije jesienny deszcz. Na tle monotonnych melodyj, spływających po szybach kropel deszczu zjawiają się w wieczornym mroku wspomnienia. Oczyma samotnika przesuwa się wesoły, lecz mgłą rozrzewnienia osnuty korowód dni dzieciństwa, wspomnienia pierwszej miłości, niezrealizowane marzenia... Wszystko to skrystalizowane w melodiach usłyszą radiosłuchacze w audycji radiowej, opracowanej przez Jana Leskiego, a nadanej dn. 5 listopada o godz. 19.30 przez Rozgłośnię Lwowską.

TADEUSZ ROLICKI

O BONIFIKATĘ PODATKU SPECJALNEGO

W ostatnim numerze „Echa" podjęliśmy sprawę podatku specjalnego. Podatek specjalny zyskał swoją moc obowiązującą normą prawną, rozporządzeniem Prezydenta R. P. Nic zatym dziwnego, że rozpoczęcie akcji o bonifikatę tego podatku wymagało specjalnej ostrożności, specjalnego przemyślenia i wszechstronnego zbadania terenu. W pełni zrozumienia powagi normy ustawodawczej oddaliśmy się starannym dociekaniom nad istotnym stanem rzeczy. Zwlekaliśmy długo. Postanowiliśmy jednak w rezultacie wystąpić ze stanowczym wołaniem o bonifikatę, wystąpić z planową akcją, walką o ulżenie niedoli pracownika - społecznika, którym jest każdy pracownik instytucyj ubezpieczeń społecznych.

Już w poprzednim artykule uzasadnialiśmy nasze w tej sprawie stanowisko. Dziś pragniemy ustalić te wszystkie przesłanki, jakie posłużyły nam do oficjalnego wystąpienia na łamach naszego pisma.

Wystąpienie nasze, podjęte w imię dobra kilkunastotysięcznej rzeszy pracowniczej, ma za sobą całkowite poparcie moralne tych tysięcy. Wierzymy w słuszność naszych postulatów, wierzymy niezłomnie w to, że podatek specjalny nie ostał się w starciu z ostrą rzeczywistością życia i musi prędzej czy później z terenu ubezpieczeń społecznych ustąpić. Sytuacja jest najzupełniej jasna. Pensje pracowników ubezpieczeń społecznych były w ciągu ostatnich paru lat przedmiotem ponurej wiwisekcji, która w konsekwencji przyniosła obniżenie poborów do 40, a nie rzadko i 50%!! Pracownik, nigdy nie przyzwyczajony do luksusu, stanął dosłownie przed widmem nędzy. Podatek specjalny przyjął z rezygnacją lojalnego obywatela, bo podatek ten był w założeniach swych progresywny, a więc w zasadzie oparty na sprawiedliwym sprawdzianie, bo podatek ten był powszechny, obowiązujący wszystkich. Już wówczas szerokie rzesze pracujących w instytucjach ubezpieczeń społecznych wołały głośno o przekroczeniu progu, za którym rozpoczynała się wegetacja życia i zdrowia człowieka kulturalnego.

I przyszła rzecz najbardziej zastanawiająca, rzecz, prowadząca myśl na manowce goryczy, fermentu i ostrego niezadowolenia. Oto w swoim własnym zakresie szereg instytucyj, których spis przykładowo podawaliśmy w poprzednim artykule, odstąpiło od normy dekretowej i zarządziło bonifikatę podatku specjalnego dla swoich pracowników. Przykład godny niewątpliwie naśladowania.

Ale w zdumieniu, nasyconym żalem i protestem, widzimy, że bonifikata ta objęła nie instytucje, które dają niskie uposażenia swoim pracownikom, lecz te instytucje, które wysokimi — stosunkowo — stawkami ustalają pensje pracownicze, że bonifikata ta objęła te instytucje, w których obniżka poborów albo nie miała od roku 1929 w c a l e miejsca, albo nastąpiła w nieznacznym procencie.

Teraz porównajmy: Po stronie tych uprzywilejowanych instytucyj, które zniosły podatek specjalny od uposażeń, notujemy:

1) wysokie stosunkowo uposażenia;

2) istnienie różnych dodatków do pensji, jak bilansowe, inwentarzowe, roczne, gratyfikacyjne i t. p.

3) obniżenie w minimalnym stosunku lub pozostawienie bez zmian od roku 1929 stawki uposażeniowej.

Po stronie pracowników ubezpieczeń społecznych, którzy dotąd nie uzyskali bonifikaty podatku, notujemy:

1) niskie stosunkowo uposażenia;

2) brak jakichkolwiek dodatków do pensji;

3) obniżenie poborów od roku 1930 o 30 — 50%!

Porównanie wypadło aż nadto jaskrawo. Kto zdoła zaprzeczyć naszym żądaniom słuszności, skoro za nami stoi z życia powstała prawda? Czy znajdzie się człowiek dobrej woli, któryby nie zrozumiał, że w tych warunkach pozostawienie w rubrykach uposażeń potrąceń na rzecz podatku specjalnego jest krzyczącą niesprawiedliwością?

Stoimy na stanowisku następującym: Jeżeli bonifikata nastąpiła w Banku Polskim, w B. G. K. w szeregu instytucyj państwowych, w P. Z. U. W., to tymbardziej bonifikatę tę należy zastosować do pracowników, zatrudnionych w ubezpieczeniach społecznych. Co za tym przemawia? — Za odpowiedź wystarczy wyżej wskazane porównanie. Nie walczymy z normą prawną, przeciwnie widzimy jako ideał rządów — właśnie rządy prawa. Ale walczymy i walczyć będziemy zawsze z bezduszną interpretacją ustawy, z biurokratycznym trzymaniem się każdego słowa, przecinka i kropki. Przecież ustawa żyje, i nie jest ona tylko zbiorem setek wyrazów martwych na martwym papierze. I to życie ustawy wymaga od jej wykonawcy znajomości p r a w d z i w e g o życia.

A właśnie w przypadku podatku specjalnego — mamy prawo domagać się życiowego stosunku do ustawy. Życie dało nam, pracownikom ubezpieczeń społecznych, najpotężniejszy w tej mierze argument — nędzę naszą i naszej rodziny.

Doszedł do tego nieodparty fakt bonifikaty podatku w szeregu instytucyj zasobnych i hojnie płacących swoim pracownikom. Te dwa fakty mówią same za siebie. Zasłanianie się w tej mierze argumentem, że ustawy są tylko na to, aby je ściśle wykonywać, że nie może mieć miejsca elastyczne ujmowanie ustaw, jest świadectwem bezduszności lub... obawy Przecież wszystko co słuszne i sprawiedliwe, przemawia za bonifikatę podatku specjalnego dla pracowników ubezpieczeń społecznych. Ani powaga ustawy nie ucierpi na tym, jak nie ucierpiała dotąd, ani autorytet czynników decydujących nie zostanie zachwiany przez to, że podadzą rękę pomocną tonącemu w nędznej egzystencji pracownikowi.

Przeciwnie — świadomość życzliwości, świdomość r ó w n e g o traktowania, sprawiedliwego i słusznego traktowania czyni ze zmęczonego i zniechęconego robota - pracownika, pracownika - człowieka.

A najważniejszą i najbardziej niepokojącą prawdą jest to, że zniechęcenie i gorycz są matkami fermentu...

Tadeusz Rolicki.

Nie tędy droga...

(dokończenie ze strony 2)

Reforma ta powinna w bardzo dużym stopniu uprościć agendy ubezpieczeniowe i spowodować znaczną obniżkę kosztów odministracyjnych. — Że to nastąpi, wątpić nie można, zwłaszcza po przeprowadzeniu pewnych zmian (zresztą nieznacznych) organizacyjnych w Z. U. S. po odpowiednim zracjonalizowaniu biurowości.

Sprawozdań rocznych z działalności instytucyj ubezp. społ., jak również bilansowości i rachunków działalność za lata 1934 — 1935 dotychczas jeszcze nie opublikowano, nie można więc już obecnie przeprowadzić co do tego dokładnej analizy, jak się odbiła reforma organizacyjna ubezp. społ. na kosztach administracyjnych instytucyj ubezpieczeniowych. Na podstawie jednak badania preliminarzy budżetowych zarówno Z. U. S., jak i ubezpieczalni społecznych, można śmiało stwierdzić, że koszty administracyjne ubezpieczenia chorobowego spadły znacznie po dokonanej reformie organizacyjnej (tj. od 1934r.) , natomiast koszty administracyjne innych działów ubezp. (długoterminowych) wykazały spadek minimalny, względnie wykazały nawet wzrost (ubezpieczenie wypadkowe). Na podstawie skrupulatnych badań preliminarza budżetowego Z. U. S. na 1936 rok okazuje się, że globalna kwota kosztów administracyjnych wyniesie w 1936 r. sumę 20,464991 zł., w której to sumie mieści się kwota 9,198000 zł., stanowiąca zwrot kosztów administr. innym instytucjom (przeważnie ubezpieczalniom), wydatki więc administr. właściwie Z. U. S. wyniosą kwotę 11,266991 zł. Oceniając i porównując ogólne kwoty kosztów administracyjnych Z. U. S. (bez kosztów funduszu ubezp. chorobowego) w kwocie 9,908170 zł. z kwotą zwrotów (p. wyżej) 9198000 zł., dojść musimy do wniosku, że agendy administracyjne przeprowadzane przez Z. U. S. na rzecz ubezpieczalni społ. (bez ubezp. chorobowego) kosztują o przeszło 700 tysięcy zł. więcej, niż agendy wykonywane na rzecz Z. U. S. przez ubezpieczalnie społeczne. A gdy weźmiemy pod uwagę, że obecnie gros agend właśnie przypada na ubezpieczalnie społ. (ściąganie składek, ewidencja ubezpieczonych, opracowywanie roszczeń o świadczenia długoterminowe itp.), stwierdzić można, że koszty administracyjne Z. U. S. (przyznawanie świadczeń, zarząd majątkiem, sprawy ogólne i personalne) są wysokie i powinny być zredukowane, czego jednak, bez pewnych zmian i uproszczeń organizacyjnych, jak również bez racjonalizacji biurowości Z. U. S., osiągnąć się nie da, o czym już wyżej zresztą nadmieniłem. —

Jan Zawadzki

Więc to za wasze pieniądze

panowie „od kapitału" – istnieją ubezpieczenia spol.?

Jak pamiętają czytelnicy, w ostatnim numerze „Echa" zamieściliśmy artykuł p. t. „My i knechty wielkiego kapitału". Nie podobał się on „Depeszy", centralnemu organowi prasowemu t. zw. sfer gospodarczych. Trudno — często prawda w oczy kole. A prawdy tej nigdy nikomu nie szczędzimy, a tym bardziej tym, którzy w mamonie widzą szczytną misję swego żywota ziemskiego, tym panom dyrektorom od przemysłu, handlu, wielu mniej lub więcej usprawiedliwionych w naszym Państwie organizmów gospodarczych. Na ataki „Depeszy" odpowiadaliśmy milczeniem. Prawda raz powiedziana — nie potrzebuje obrony i polemiki.

Obecnie jednak jesteśmy świadkami nieprawdopodobnego ataku — bezpośrednio na nasze pismo, a pośrednio — na kilkunastotysięczną rzeszę pracowników instytucyj ubezpieczeń społecznych. Oto w odpowiedzi naszemu korespondentowi p. Iga, autorowi artykułu p. t. „My i knechty wielkiego kapitału", redakcja „Depeszy" pozwoliła sobie na notatkę o niezwykłej treści i niezwykłym tytule „Za nasze pieniądze wymyślają nam. Ataki biurokracji ubezpieczeniowej".

To nie do wiary! — zawoła czytelnik. Niestety! Są jeszcze grupy w społeczeństwie polskim, które tak potrafią myśleć, które potrafią, na pełne goryczy słowa pod ich adresem, odważyć się na tak znamienne, tak ziejące nienawiścią do tego wszystkiego, co pracownicze, co „niepańskie", uwagi, że „biurokracja ubezpieczeniowa wymyśla tym, z których żyje" (!), że dalej „mądrość życiowa nakazywałaby więc raczej życzliwe ustosunkowanie się do swych chlebodawców" (!).

Oto za słowa gorzkiej prawdy pod adresem knechtów wielkiego kapitału dowiedzieliśmy się, my, pracownicy ubezpieczeń społecznych, że nie Z. U. S., że nie ubezpieczalnie społeczne są naszymi chlebodawcami, ale oni — ci „wielcy" z mnóstwem mamony, ci osławieni „panowie dyrektorowie od kapitału"! A ponieważ my płacimy za to — jakby chciała powiedzieć „Depesza" dalej — więc przed nami zginajcie karki, więc „życzliwie" czcijcie nas...

Pomyliła się „Depesza". Mamy twarde karki i służymy jednej tylko idei zawsze i wszędzie: dobru Narodu i Państwa Polskiego. My stoimy na stanowisku, że pieniądze składane są do wspólnej skarbnicy dla wspólnej sprawy. Wy — panowie spod znaku „Depeszy" — wołacie: „Dałem ci grosz, musisz dać mi dwa..." Wy — widzicie wszędzie — kapitał, nieruchomy, niszczący wszystko twór złotego cielca. I dlatego, Panie Redaktorze „Depeszy", uważamy tamte słowa za słowa złego świadectwa, słowa ginącego świata, odgryzającego się ostatkiem sił, słowa odkrywające właściwą twarz ludzi „z tamtej strony". Jeżeli jest między nami przeszkoda nie do przebycia, to nie Świat Pracy jest tego powodem i nie Świat Pracy tego żałować będzie... Mamy prawo być dumni, że jesteśmy daleko od tych „wielkich interesów" i — co ważniejsze — od pojęć moralnych i etycznych tych prawdziwych „knechtów wielkiego kapitału".

A co najważniejsze, że zapomnieli Panowie o tym dziwnym a prawdziwym fakcie, że gdyby nie biedni pracownicy, pracujący w warsztatach, uruchamianych przez kapitał, gdyby nie biedni konsumenci — nie byłoby przecież komu się bogacić. Jesteśmy w społeczeństwie. A normą egzystencji społeczeństw jest w z a j e m n a zależność i w z a j e m n e oddziaływanie, gdzie nie ma pariasów i panów, gdzie nie ma z pokorą służącego pracownika i z łaski bożej panującego pracodawcy, lecz że są obywatele równi i wolni. To takie przecież jasne...

I jeszcze jedno. „Depesza" powiada, że „nie instytucje etatystyczne są źródłem utrzymania ubezpieczeń społecznych i ich biurokracji, ale właśnie prywatne warsztaty". Ale my pamiętamy aż nadto dobrze, kto to jest winien owe setki milionów złotych instytucjom ubezpieczeń społecznych, że pieniądze te POTRĄCONE Z ZAROBKÓW PRACOWNICZYCH NIE ZOSTAŁY DOTĄD WPŁACONE DO ZAKŁADÓW UBEZPIECZENIOWYCH. Owe miliony złotych — oto ponure memento, rysujące dobitnie stosunek „panów dyrektorów od kapitału" do pracowników... I czy tylko do pracowników? Czy tak być powinno ze stanowiska dobrze pojętego interesu obywatelskiego? Czy, wy, panowie, spod znaku „Depeszy", uważacie to za rzecz również godną przemilczenia i też ją zaliczycie do rzędu „wywodów z ulotek agitacyjnych frontu ludowego" (!)?

Znamienną notatkę „Depeszy" zachowujemy do archiwum dokumentów współczesnego dekadentyzmu pewnych grup naszego społeczeństwa.

t. r.

1.000.000 zł. na pomoc zimową

Jak się dowiadujemy suma miliona złotych, zadeklarowana przez Zakład Ubezpieczeń Społecznych na akcję pomocy zimowej, wydana będzie ze specjalnego funduszu pożyczkowo-subwencyjnego, przeznaczonego (art. 239 ustawy o ubezpieczeniu społecznym) na udzielanie subwencji poszczególnym Ubezpieczalniom.

Ponieważ Ubezpieczalnie Społeczne udzielają świadczeń tylko ubezpieczonym i członkom ich rodzin przeto suma miliona złotych, zadeklarowana przez ZUS, zużyta będzie przez Ogólno - polski Komitet Pomocy Zimowej dla tych bezrobotnych, którzy ze świadczeń ubezpieczenia na wypadek choroby i braku pracy korzystać nie mogą.

Pozbawienie ich pomocy w najcięższych miesiącach zimowych grozi wzrostem chorób po powrocie do pracy, a tym samym zwiększeniem świadczeń ubezpieczenia chorobowego, a nawet trwałą utratą zdolności do pracy, co w konsekwencji wywołałoby przedwczesne powstawanie prawa do rent inwalidzkich.

Pomoc, udzielona obecnie przez Ogólnopolski Komitet pomocy zimowej przyczyni się w poważnym stopniu do obniżenia zdrowotności przez bezrobotnych w miesiącach zimowych a zatem zbiega się z celami i zadaniami ubezpieczeń społecznych, między którymi najważniejsze miejsce zajmuje ochrona zdolności do pracy.

Badania nad bezrobociem

Fundusz Pracy przyznał Instytutowi Oświaty Pracowniczej specjalną dotację na prowadzenie badań ekonomiczno - statystycznych nad podażą i popytem na rynku pracy umysłowej w Polsce oraz możliwościami zwiększenia stanu zatrudnienia pracowników umysłowych: najemnych i wolnych zawodów. Badania te niezbędne są dla ujęcia w sposób metodyczny i planowy zagadnienia bezrobocia pracowników umysłowych, a rezultaty ich powinny ułatwić opracowanie programu walki z bezrobociem.

Należy powitać z uznaniem decyzję Funduszu Pracy, która stanowi poważny krok naprzód w zaniedbanej dotąd dziedzinie walki z bezrobociem pracowników umysłowych i jest przejawem przewidującej polityki Funduszu Pracy. Badania będą prowadzone przez Instytut Oświaty Pracowniczej pod kierunkiem wybitnych fachowców i przy współpracy Międzyinstytutowej komisji, w której skład wchodzą przedstawiciele Funduszu Pracy i innych.

Przeszło 200.000 członków 42 pracowniczych związków zawodowych bojkotuje I. K. C. za jego korsarską działalność w stosunku do Polskiego Świata Pracy

JAN LORENTOWICZ

OPOWIEŚĆ O DZIECIACH

W twórczości naszych młodych powieściopisarzów ostatnich lat najmocniej uderza poszukiwania nowych kształtów wyrazu. Wychowywali się w tej samej atmosferze moralno-uczuciowej, kształtowali swe wizje pod jednakowym wpływem literackim, więc z niemałym trudem wydobywają własne, oryginalne koncepcje formy. Zdawałoby się, że łatwiejsze pod tym względem zadanie będzie miał pisarz samorodny, który nie otrzymał regularnego wykształcenia, w którym talent obudził się nagle i niespodzianie w najtrudniejszych warunkach życiowych. Możnaby się spodziewać, że taki talent wybuchnie nagle i wypowie się z całą szczerością i bezpośredniością, bez oglądania się na stałe schematy narracyjne i wszelkie konwenanse szablonowej literatury. Niestety, wypadki takie zdarzają się niezmiernie rzadko.

P. Jan Brzoza miał niezwykłe dzieciństwo i niezwykłą młodość. Rodziców utracił bardzo wcześnie i jako dziecko pędził żywot bezdomny. Przez jakiś czas sprzedawał gazety na ulicach, ale zajęcie to nie mogło mu zabepieczyć bytu. Terminował u szewca, potem był chłopcem do posyłek, a w końcu ustalił się w rzemiośle ciesielskim. Zaczął się kształcić samodzielnie i wkrótce poczuł w sobie „żyłkę" pisarską. W r. 1932 otrzymał nagrodę na konkursie Instytutu Gospodarstwa Społecznego za swój „Pamiętnik bezrobotnego". Napisał dwa dramaty osnute na tle życia górników i zbliżył się do grupy pisarzów „Przedmieścia", którzy postanowili skierować uwagę na życie proletarjackie w Polsce. Wreszcie ogłosił obszerną powieść pt. „D z i e c i" (Warszawa, Lwów, 1936, Książnica-Atlas").

Byłoby niesłusznem stawiać tej książce jakieś wyższe kryterja artystyczne. Tu i ówdzie błyska w niej talent opisowy, ale w całości jest to gawęda luźna, cokolwiek rozwlekła, budowana bez określonego planu, przeładowana szczegółami zbędnymi. Pasjonujący jest sam temat: życie gromady dzieci najbiedniejszego proletariatu w większem mieście polskim. Obrazy są niekiedy wstrząsające. I raz poraz podczas czytania tej opowieści zdejmuje nas żal, że autor nie poprzestał właśnie na formie pamiętnikowej tj. że nie podał faktów w oświetleniu absolutnie autentycznem, z całkowitym obiektywizmem dobrego obserwatora i kronikarza własnych i cudzych przeżyć.

Dzieci p. Brzozy stanowią grupę zwartą, związaną ze sobą bardzo silnymi węzłami solidarności oraz instyktownem odczuciem krzywdy, jaka im się dzieje w społeczeństwie. Grupa ta musi „zarabiać na swoje utrzymanie, t.j. szukać środków do życia, nabywanych drogą prawą lub nieprawą. W domu rodziców ci chłopcy i te dziewczynki nie zawsze otrzymują pokarm; przeciwnie, rodzice oczekują od nich „zarobionych" pieniędzy. Jedne dzieci, najlicniejsze, sprzedają gazety na ulicach; ale zarobek ten jest wogóle mizerny i nie wystarczający. Trzeba „dorabiać" wszelkimi możliwymi sposobami: żebraniną, pomaganiem przy przenoszeniu towarów, odnoszeniem pakunków, choinek gwiazdkowych, wreszcie — kradzieżą. Moralna istota kradzieży nie wchodzi tu zupełnie w grę; ukraść — to znaczy zdobyć pożądany przedmiot z taką sprawnością i zręcznością, aby nikt tego nie zauważył. Kradzieże dzieci bywają indywidualne i zbiorowe. Gdy cała gromada kradnie w sposób planowo zorganizowany, nazywa się to s k o k i e m. Oto np. jak wygląda s k o k na sklep, z owocami: „Na przodzie dowodzi Grzesio. Wysłał wywiadowcę, żeby zbadał, co robi kupiec w sklepie. Tymczasem inni chłopcy poustawiali się nieznacznie pod wystawami innych sklepów wzdłuż ulicy i niby to oglądają wystawy. Każdy patrzy z ukosa ukradkiem na swego poprzednika. Poprzednik ruszył szybkim krokiem, następny za nim i tak dalej. Gęsiego, odstęp trzy kroki i patrz z natężeniem, co robi poprzednik. Poprzednik idzie nieomal chyłkiem pod samym murem, a potem przechodzi koło kosza z czereśniami, zanurza w nim rękę i idzie dalej nie bardzo prędko, starając się nie ruszać zbyt szybko. Każdy bowiem mocniejszy ruch, szybszy krok lub odejście nagłe na bok wywołać może zamieszanie w spokojnie płynącej fali przechodniów. Następny robi to samo i tak dalej. Ale nie na tem koniec. Kolumna zawraca. Grzesio prowadzi na r e t o u r. I znowu ten sam marsz, te same nieznaczne ruchy ręką w kierunku kosza i... w przeciągu pięciu minut kosz jest próżny do samego dna. Ani jedna czereśnia nie pozostała, każdy zaś chopak ma wypchane kieszenie i pełną czapkę najdrozszych węgierskich czereśni".

Bywają jednak „skoki" znacznie groźniejsze, wprost już bandyckie. Oto np. chopcy przed zimą postanowili zdobyć obuwie. O zmroku napadają gromadnie na stragan targowy, wywracają go, kradną buty i rozbiegają się na wszystkie strony. Tchórzliwsi wracają bez zdobyczy, odważniejsi spostrzegają, że mają zdobycz niepewną. Trzech chopców bezdomnych wybrało sobie na bezpłatne a potajemne mieszkanie strych cudzej szopy. Wrócili tam ze swym łupem straganowym i stwierdzają, że pokradli buty... nie do pary...

Złodzieje samotni trzymają się gromady w niektórych tylko okolicznościach. „Paniusie" dobroczynne urządziły np. w świetlicy choinkę i gwiazdkę dla najbiedniejszych dzieci. Zebrała się gromadka „gazeciarzy" i bezdomnych chłopców: otrzymują mało użyteczne „gwiazdki", potem jedzą chciwie smakołyki i gawędą półgębkiem, bardzo nieufni wobec ofiarodawców, którzy mogą nakłaniac do „rzemiosła". Dwóch chłopców siedzi, milcząc i przygląda się bacznie wszystkiemu. Reszta gromady wie, co to milczenie i skupienie znaczy: albo j u ż ukradli albo też obmyślają, co i w jaki sposób ukraść. Ten opis choinki w świetlicy należy do najlepszych fragmentów książki p. Brzozy. Wzruszającym jest zwłaszcza koniec wizyty, gdy dwaj chopcy posnęli i nie można ich było obudzić, więc spędzili noc w świetlicy i — nie potrzebowali wracać na strych w cudzej szopie, gdzie było zimno i wilgotno.

Domowe stosunki dzieci proletariackich odtwarza p. Brzoza z realizmem godnym uwagi. Najpospolitszą formą pieszczoty macierzyńskiej jest tu okrzyk. „ty złodzieju!" A „złodziejowi" temu nie zawsze daje się ciepłej zupy i odbiera mu się pieniądze zarobione. Za to taż sama zła matka zamienia się w lwicę, gdy jej dziecku czyni ktoś krzywdę, jak np. w wypadku, gdy chłopcu, podczas kąpieli rzecznej, któryś z koleżków skradł ubranie i biedny golasek wrócił zrozpaczony do domu. Sentyment chłopca do matki przybiera niekiedy przedziwne formy. Gdy Jurkowi matka umarła i pozostał sam na świecie, nie może u w i e r z y ć w jej śmierć przez długie lata. Nie rozumie, co to jest śmierć. Oczekuje wciąż powrotu tej, dla której był tylko „złodziejem", a która była dla niego, pomimo wszystko, ostoją życia.

Książka p. Brzozy jest zjawiskiem wysoce interesującym, o ile się weźmie pod uwagę osobę samego autora. Działacze społeczni znajdą w niej niejeden przedmiot, pobudzający do głębszej zadumy. Jaka będzie przyszłość powieściopisarska p. Brzozy — trudno przesądzać, bo zbyt wiele tu jeszcze cudzych odgłosów. Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że ten osobliwy robotnik ciesielski ma wrodzony talent pisarski, który może niebawem odezwać się zupełnie samodzielnie.

Jan Lorentowicz.

Powieść mówiona przez radio

W dniu 3 listopada Polskie Radio rozpoczyna zupełnie nowy rodzaj audycji. Będzie to „powieść mówiona", p. t. „Dni powszednie państwa Kowalskich" pióra Marii Kuncewiczowej.

„Dni powszednie państwa Kowalskich" mają być czemś pośrednim miedzy felietonem literackim a słuchowiskiem. Koncepcja Kuncewiczowej jest próbą zastosowania teorii słuchowiska radiowego do faktury powieściowej. Jest to próba śmiała i eksperyment o wartościach pierwszorzędnych jeśli chodzi o formalne zdobycze radiofonii polskiej.

Powieść mówiona ukazywać się będzie w programach radiowych raz na tydzień. Fabuła powieści zostanie ze względu na wymagania mikrofonu ograniczona. Będzie ona stanowić raczej ramy najkonieczniejsze, które obejmują istotną treść powieści: problematykę życia codziennego

Każdy z odcinków tej powieści, choć stanowi ciąg dalszy treści, przedstawia zamkniętą w sobie całość, wyczerpując w opowieściowym skrócie jedno z zagadnień dnia poprzedniego.

Powieść czytana będzie przez różne, ale stale te same głosy. Jeden głos reprezentuje autora, przede wszystkim w częściach epickich powieści. Poza tym stosowany będzie dialog, który w radio ma zawsze swój specjalny popis.

Powieść mówiona, poczynając od dnia 3 listopada wchodzi do programu co wtorek o godz. 17.00.

POŻYTECZNE WYDAWNICTWA
dla bibliotek związkowych

J. KOSSOWSKI: P o l i c j a n t G i a c o m o B i c a r a n i. — K a p i t a n T o m e k. — S z c z e p a n R o s k o c h a. (B. U. L. Nr. 38). Nakł. Gebethnera i Wolffa.

Mjr. Dr. ST. POMARAŃSKI: Z h i s t o r y c z n y c h d n i l i p c a i s i e r p n i a 1914 (nr. 44). Nakład Gebethnera i Wolffa. W bibliotece „Polska i Świat Współczesny".

WYDAWNICTWA
ZAKŁADU NARODOWEGO
Im. OSSOLINSKICH
LWÓW, 1936.

Henryk Sienkiewicz. NOWELE. NA MARNE. Tanie wydanie, str. 173.

Henryk Sienkiewicz. NOWELE. SELIM MIRZA. NIKT NIE JEST PROROKIEM MIĘDZY SWYMI. DWIE DROGI. Tanie wydanie, str. 257.

Henryk Sienkiewicz. NOWELE. (20 nowel). Tanie wydanie, str. 219.

Henryk Sienkiewicz. NOWELE. STARY SŁUGA. HANIA. Tanie wydanie, str. 195.

Henryk Sienkiewicz: OGNIEM I MIECZEM — wydanie z objaśnieniami i mapami, mały format, tomów 8; PAN WOŁODYJOWSKI, wydanie mat, tomów 5; POTOP, wydanie z objaśnieniami i mapami, mały format, tomów 13.
z objaśnieniami i mapami, mały format

Stanisław Zakrzewski. ZAGADNIENIA HISTORYCZNE, t. I — str. 330, t. II — str. 274.

JÓZEF CZYŚCIECKI.

KOCHAJMY SIĘ W DOMU!

Dla zakochanych — w najostrzejszym stadium tej choroby — miłość jest najcudniejszym darem niebios. Dla sceptyka — miłość jest największym oszustem natury. Oba te twierdzenia, mimo krańcowej sprzeczności, są prawdziwe, co przeczy prawom logiki, ale godzi się z doświadczeniem życiowym. Tak to już bowiem bywa, że zakochany, gdy wyzwoli się z zamroczenia uczuciowego, ma pretensję do natury, że go wystrychnęła na dudka, zaś sceptyk, gdy się zakocha, przebacza naturze jej perfidne działanie i chętnie poddaje się złudzeniu, że jego sprawa miłosna nie ma nic wspólnego z mało poetyczną troską natury o utrzymanie gatunku. Człowiek jest dość zarozumiałym stworzeniem i, mimo że jest nic nie znaczącą drobiną w kosmosie, lubi drapować się w togę władcy świata i siadać na wyimaginowanym tronie wyimaginowanej wielkości. Przypomina trochę tego wariata, który, zamknięty w celi zakładu dla obłąkanych, ozdabia skronie papierową koroną i usiłuje bezskutecznie przekonać lekarza, że jest Karolem Wielkim.

Może zresztą porównanie nie jest zupełnie trafne. Bo jednak ten biedny wariat, — jakim jest człowiek normalny, uwięziony w celi swoich psychofizycznych konieczności, — broni się jak może przeciw tyranii natury i daje jej czasami prztyczka w nos. Potrafi ją nieraz zaprząc do wozu swoich celów i poganiać batem swej niezupełnie wolnej woli niczem dorożkarz kobyłę. Udało mu się przecież przedłużyć życie, opanować niektóre choroby, wzmocnić maszyną siłę ramienia, rozświetlić elektrycznością noc, ujarzmić okrętem morze, a samolotem niebo. Również w mrocznej dziedzinie instynktów przestaje chodzić po omacku i zaczyna fizjologicznym pobudkom swego postępowania przeciwstawiać świadomość swoich postulatów. Już jest na dobrej drodze do zatamowania nadmiernego rozpędu rozrodczego natury. Tym samym, temu jej oszustwu, które nazwaliśmy miłością, wyrywa jedno z najostrzejszych żądeł. Ale tylko jedno. Bo miłość nadal pozostaje żywiołem trudnym do opanowania, równie pięknym jak niebezpiecznym, i nadal, dając człowiekowi najwyższą radość, potrafi najboleśniej go ranić. Taka już ona jest...

— Cóż, u diabła, — pomyśli sobie czytelnik, — pismo społeczne karmi mnie jakimiś pseudo - filozoficznymi rozważaniami o miłości! — Cierpliwości! — drogi czytelniku. Zaraz przejdziemy na teren społeczny. Bo miłość, — w tym najszerszym znaczeniu, obejmującym nie tylko najwznioślejsze, sublimowane przeżycia uczuciowe, ale całą dziedzinę życia erotycznego, — ma bardzo wiele refleksów społecznych. Poświęciliśmy im już dwa felietony, w których uderzaliśmy przede wszystkim w grupę ludzi decydujących o przyjmowaniu i zwalnianiu pracownic. Napiętnowaliśmy nadużycia panów szefów. Obecnie chcemy oświetlić zagadnienie z innej strony. A mianowicie: zastanowimy się nad tem, jakie krzywdy wyrządza światu pracy Eros nawet w tych warunkach, gdy nie ma mowy o nadużyciach władzy. I dlatego pozwoliliśmy sobie na kilka uwag natury ogólnej o miłości, żeby dalszym wnioskom odebrać charakter moralizatorski. A łatwo możnaby autora felietonu posądzić o tendencje moralizatorskie, gdyby się we wstępie nie zastrzegł, że doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jak słabym jest człowiek wobec potęgi żywiołu.

X

Przed kilku tygodniami obiegła prasę tragiczna wiadomość o samobójstwie małżeńskiej pary nauczycielskiej. Oboje pracowali w jednej miejscowości, a tu nagle jednego z małżonków przeniesiono gdzieś do odległej wsi, a drugiego pozostawiono w poprzednim miejscu pracy. Ludzie się kochali, nie mogli pogodzić się z przymusową separacją, więc zaprotestowali przeciwko okrutnej decyzji władzy samobójstwem. Prawdopodobnie mamy tu do czynienia z nadużyciem władzy, ileż jednak spotyka się wypadków, gdzie nadużycia nie ma, a rozdzielenie małżonków dla dobra służby istnieje. Dura lex, sed lex. Nie wolno małżeństwu pracować razem w jednej instytucji, bo to mogłoby źle wpływać na stosunki pracy. Godzimy się z tym zakazem, bo jednak przemawiają za nim słuszne racje społeczne. Jakim jednak ten zakaz wyda się nonsensem, jeżeli uświadomimy sobie, że

PROCES RADOMSKI

Proces radomski urzędników skarbowych odsłania przed naszymi oczyma zatrważający obraz stosunków w resorcie który by mógł działać skutecznie, musi być nieskazitelnym w opinii ludzi niosących ciężką ofiarą zdobyte grosze za podatki do kas państwowych. Taką gnojną ranę, jaką ujawniło śledztwo sądowe, należy wypalać rozpalonym żelazem. Kierownicy urzędów skarbowych, ściągający na rzecz swoją ciche „prowizje" od obrotów w swych urzędach, pokrywając je sprytnymi malwersacjami w księgowaniu, — tacy lustratorzy, którzy, przyjeżdżają na kontrolę, dają się poić i karmić wystawnymi ucztami i za to przez palce patrzą na możliwe niedokładności rachunków — nie zasługują na najmniejsze pobłażanie. Oczywiście, rewelacje procesu radomskiego spowodowały szereg dalszych dochodzeń. Oby skutecznych!

Istnieje obok tego cała serja przypadków niemniej jaskrawych i rzucających się w oczy, lecz równie zatrważających. W ciągu ostatnich paru tygodni w samej tylko Warszawie aresztowano pod zarzutem sprzeniewierzeń kilku sekretarzy sądów grodzkich i kilku komorników. W niektórych wypadkach skonstatowano życie nad stan, hulanki, puszczanie pieniędzy. Tak, tu mamy do czynienia ze zwykłą demoralizacją człowieka, przez którego ręce przepływają pieniądze i który nie może powściągnąć swych żarłocznych apetytów na lekkie życie, na żarłoczne a przyziemne użycie, choćby ze świadomością, że to się kiedyś urwie, że się nadużycie ujawni i że ujawnić się, prędzej czy później, musi. To są wypadki niewłaściwego doboru ludzi. Powinno się wiedzieć, kogo i za jakie zasługi wysuwa się na odpowiedzialne stanowiska.

Jeżeli jednak pominiemy te sporadyczne wypadki, to pozostanie masa szarych przestępstw i szarych przestępców. Długim szeregiem przewijają się oni przez ławy oskarżonych. Za każdym razem — to samo. Skromna, niewystarczająca pensyjka, niedostatek w domu, życie bez jaśniejszego promienia. W życiu rodzinnym skąpe liczenie na grosze, a w urzędowaniu — obroty tysiącami. Nazwałem w jednym z dawniejszych artykułów sprzeniewierzenie przestępstwem zawodowym świata pracy. Niestety, tak jest. Pokusa tego przestępstwa czyha ustawicznie na pracownika umysłowego. Widuje ich codzień: tych zadyszanych, zmęczonych komorników, przeładowanych pracą, zawalonych nieopłaconymi czynnościami, tych sekretarzy sądowych, przemęczonych, wyblakłych, nie opędzających swych potrzeb domowych z nadmiernie szczupłej pensyjki. Jak tu wyżyć, jak przepchnąć jeszcze ten rok, jeszcze następny i wiele następnych, zanim kiedyś będzie można spocząć i lżej odetchnąć?

Wyobrażam sobie innych, tysiące takich szarych ludzi, o ziemistych twarzach, o przygnębionej postaci — w setkach kas, instytucyj, urzędów. Niewspółmierność pomiędzy ich pensyjkami, a sumami, przepływającymi przez ich ręce, jest uderzająca. Gdy pomyśleć, że w każdego z nich kiedyś ugodzi klęska, choroba w rodzinie, śmierć i kosztowny pogrzeb, że żaden z tych głodowych budżetów nie zdoła się utrzymać w równowadze przez przeciąg lat kilkunastu, że wszyscy już są zadłużeni, obarczeni nadmiernymi ciężarami, że nigdy nie wiadomo z jakiej racji, z jakiego tytułu, z powodu jakiej okazji spadają na nich niespodzianki odliczeń, skreśleń, składek, ofiar, pożyczek — to można tylko dziwić się, że ten wielki szereg wędrujących przed kratki sądowe defraudantów jest jeszcze tak stosunkowo mały.

Pośród różnych statystyk, które są dokonywane, brak jednej jeszcze statystyki. Nie robi się jej dlatego może, iż byłaby przerażająca. Ile wynoszą straty skarbu państwa, straty przedsiębiorstw państwowych i instytucyj publicznych, powstałe w skutku wykrytych nadużyć i sprzeniewierzeń? Byłaby to statystyka ze wszech miar pożyteczna, gdyż ukazałaby naocznie, ile strat przynosi zła polityka personalna.

Nie zawsze dobrze jest oszczędzać na ludziach. Lepiej czasem pożałować człowieka, a nigdy nie szkodzi w imię rozsądku czynić wyłomy w sztywnych przepisach i normach służbowych. Nie można zaszeregowywać jednakowo pod względem uposażeniowym zwykłych manipulantów i tych, którym powierza się funkcje gospodarowania groszem publicznym. Ci ostatni powinni być lepiej płatni. Jakieś dodatki funkcyjne za czynności gospodarczofinansowe, nieco podnoszące budżet pracownika, w iluż wypadkach zdołałyby ocalić majątek publiczny od szkody, a człowieka — od stoczenia się po pochyłości. Trzeba by dbać bodaj o jedno: aby człowiek, mający w ręku zarząd groszem publicznym, nie spadał w swych zarobkach do poziomu minimum egzystencji. Z chwilą gdy to czynimy, popychamy go nieuchronnie na drogę występku.

Urzędnik, obarczony rodziną, skazany jest na egzystencję za płacę, z której nie można wyżyć, można tylko przymierać. Równocześnie daje się w ręce zarząd pieniędzmi, każe się prowadzić rachunkowość, złożoną z tysięcy pozycyj, z pośród których tak łatwo zgubić, ukryć, upozorować jedną, kilka, kilkanaście. On wie, że łatwo i wie, jak mógłby to uczynić. Najczęściej przy tym nie wie, nie rozumie, że te sposoby zawodzą. Przyzwyczajono go bowiem do kontroli powierzchownej, czepiającej się drobiazgów, wyszukującej formalnych niedokładności i w tych drobiazgach gubiącej się całkowicie. Jeżeli będzie syty, jeżeli jego życie będzie szło drogą równą, bez katastrof, jeżeli będzie wiązał koniec z końcem—pokusa nie znajdzie do niego dostępu. Ale gdy niedostatek dusi za gardło?...

Myślę czasem, że ta statystyka strat bywa po cichu przeprowadzana. I że wydaje rezultaty opłakane. Nietylko dlatego, że straty są znaczne. Również i dlatego, że — może straty są mniejsze niż byłyby dodatki funkcyjne. Te ostatnie może by o jakiś procent były większe? A może się liczy na to, że sprzeniewierzenia się zmniejszą? Więc w tamtym wypadku grosz, wyłożony na dodatki, wypływał by z kas bezpowrotnie, a w tym — może się go uda ocalić przed sprzeniewierzeniem?

Jeśli istnieje taka kalkulacja, to jest to kalkulacja zła. Nie wszystkie sprzeniewierzenia na jaw wychodzą i strat, jakie z tego powodu następują, nigdy obliczyć się nie da. A po drugie: czyż za nic liczy się człowiek? Czy jego demoralizacja skutkiem nędzy nie stanowi pozycji ujemnej nie w rachunku pieniężnym lecz w bilansie strat społecznych? Podrywanie zaufania wśród szerokich warstw ludności, obniżanie powagi urzędów, szerzenie się zarazy moralnej — to wszystko nie znaczy nic?

Zsumować i rachunkowo wyliczyć strat materialnych i moralnych, łącznie wziętych, nie można. Niepodobna porównać ich z kosztami podwyżek funkcyjnych. Można jednak z góry powiedzieć: samą represją karną nic się nie da zrobić. Represja jest słuszna i nieunikniona. Lecz musi iść w parze ze środkami zaradczymi. Nie należy dopuszczać do demoralizacji. A najlepszym — i jedynym zresztą — środkiem zaradczym jest nie utrzymywać na poziomie zbliżonym do nędzy tych, którym się powierza grosz publiczny. Jeżeli się ich wyróżnia zaufaniem, to trzeba również wyróżniać ich w zakresie zaspakajania ich potrzeb materialnych.

Wówczas z czystym sercem można już skierowywać ostrze surowej represji karnej przeciwko tym, którzy kradną, sprzeniewierzają lub patrzą przez palce na cudze nadużycia z chciwości, z żarłoczności, z pragnienia użycia; za hulanki, za karty, za rozwiązłość — za to wszystko należy się ostry bicz represji karnej i tylko cieszyć się trzeba, że spada i uderza, że nie puszcza się płazem i nie zaciera nadużyć, dla których nie ma żadnego usprawiedliwienia.

Delta.

Rekord powodzenia teatralnego osiągnął teatr Malickiej grając 150 razy „Profesję pani Warren" Shawa świetnie wyreżyserowaną przez Z. Sawana. W każdą sobotę i niedzielę o 4-ej popł. kasowa „Trafika pani generałowej " grana przeszło 225 razy. W obu sztukach niezrównana Malicka. Sztuki te grane będą do końca roku. W Sylwestra premiera komedii rumuńskiej Herza „Zamieszaj".

Samopomoc oszczędnościowo-kredytowa
w akcji oddłużeniowej

Jak już wspominaliśmy na tym miejscu, druga połowa akcji oddłużeniowej dotycząca zobowiązań prywatnych, uległa zwłoce z przyczyn od Komitetu Oddłużeniowego niezależnych, raczej z powodu stanowiska zajętego przez Ministerstwo Opieki Społecznej. Obecnie po powrocie Pana Wiceministra Jastrzębskiego sprawa ta została ponownie poruszona. Na konferencji, odbytej z przedstawicielami wszystkich związków, Pan Minister Jastrzębski zajął następujące stanowisko:

Po przedstawieniu Panu Ministrowi projektu powołania do życia jednolitej pracowniczej instytucji spółdzielczej oszczędnościowo - kredytowej na terenie wszystkich instytucyj ubezpieczeń społecznych — oświadczył Pan Minister Jastrzębski, że jeżeli do statutu takiej instytucji zostanie wprowadzony paragraf przewidujący utworzenie funduszu emerytalnego dla pracowników, wówczas Pan Minister przyrzeka jak najdalej idącą pomoc i ma nadzieję, że w tym wypadku udział instytucyj ubezpieczeń społecznych w formie dopłat do tego funduszu można uważać za zapewniony.

W tym też celu został opracowany ramowy statut instytucji spółdzielczej oszczędnościowo - kredytowej i rozesłany do wszystkich komitetów lokalnych, tymczasem bez odnośnego paragrafu, dotyczącego funduszu emerytalnego, z tym, że dopełnienie to nastąpi później. Powołanie do życia pracowniczych instytucyj spółdzielczych należy poprzeć jak najbardziej.

Przy poruszeniu sprawy nieobjęcia akcją oddłużeniową pracowników niepodlegających przepisom służbowym — Pan Minister Jastrzębski oświadczył, że sprawę tę w najkrótszym czasie poleci załatwić w sensie pozytywnym dla tej kategorii pracowników.

Znacznie gorzej natomiast przedstawiają się sprawy ze zniesieniem podatku specjalnego i obniżek 4 — 8 procentowych. Do wniosków postawionych przez przedstawicieli związków zawodowych w tych dwóch sprawach Pan Minister Jastrzębski ustosunkował się negatywnie, uzasadniając swoje stanowisko tym, że w pierwszym wypadku nie może postępować wbrew ustawie, że odwrotnie na Jego stanowisku musi pilnować należytego wykonywania ustaw, w drugim zaś wypadku uważa, że nie ma prawa w obecnej sytuacji podwyższać kosztów administracyjnych w instytucjach ubezpieczeń społecznych kosztem zmniejszenia i tak szczupłych świadczeń szerokich mas ubezpieczonych. Reasumując powyższe, należy stwierdzić, że w chwili obecnej w celu uzyskania odpowiednio wystarczających kredytów od Ministerstwa Opieki Społecznej na oddłużenie prywatne — koniecznym jest powołanie do życia pracowniczych instytucyj spółdzielczych oszczędnościowo - kredytowych. Im prędzej powstaną takie spółdzielnie, tym prędzej możliwym będzie otrzymanie od Min. Op. Społ. odpowiednich kredytów i rozpoczęcie stopniowego chociażby oddłużenia pracowników z długów prywatnych.

Z walki o zniesienie podatku specjalnego i obniżek, o których mowa wyżej, nie rezygnujemy i będziemy ją prowadzić w imię słuszności nadal.

---

dotyczy on tylko legalnych związków małżeńskich!

Bo przecież wiadomo ogólnie, — i tu wchodzimy w sedno sprawy, — że koleżeństwo pracy osób różnej płci prowadzi bardzo często do związków uczuciowych. Czyż można się dziwić, że ludzie, stykając się z sobą codziennie na terenie biura, niejednokrotnie wchodzą z sobą w taki czy owaki kontakt erotyczny? Trzeba uznać ten stan rzeczy za najzupełniej normalny i nie można się nim gorszyć. Raczej nawet trzeba go aprobować. Bo może to właśnie jest dobrze, że miłość wyrasta na gruncie współpracy zawodowej. Zresztą, tak czy owak, nie można mieć pretensji, że kolega zakocha się w koleżance lub odwrotnie. Miłość nie pyta nikogo o zgodę.

Ale rozpatrzmy teraz taką sytuację: kolega X kocha się dajmy na to z wzajemnością w koleżance Y. Wszystko jest w porządku. Dobro służby nic na tym nie traci. Niech jednak ta kochająca się para spróbuje się pobrać, „dobro służby" odrazu staje dęba i w rezultacie powoduje zwolnienie lub przynajmniej przeniesienie jednego z małżonków. Gdzież tutaj sens? Trzeba by przyjąć, że tylko legalne związki miłosne wywołują straszne spustoszenia w stosunkach pracy, inne zaś nie. Bynajmniej nie kwestionuję wartości moralnej związków nielegalnych, ale nie mogę uznać słuszności tego wniosku. Moim zdaniem albo wogóle żaden rodzaj miłości nie zagraża dobru służby, albo każdy. Tylko jedna z tych dwóch alternatyw jest do przyjęcia. Która?

Wydaje mi się, — i chyba każdemu, kto chce te rzeczy oceniać bezstronnie, — że druga. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że intymna zażyłość uczuciowa ludzi pracujących w jednym biurze jest groźna dla poprawności stosunków służbowych, dla bezstronności załatwień i dla wydajności pracy. Zwłaszcza jeżeli między tymi ludźmi istnieje zależność służbowa. Jak jednak rozwiązać ten problem? Nie można ludziom zabronić się kochać i nie można chyba poddawać tej sprawy jakimś normom prawnym, podobnym do tych, które odnoszą się do małżeństw. A zagadnienie domaga się reformy, bo, niestety, zbyt często spotykamy się w biurach z niemiłymi konfliktami tego typu. Brak wyraźnych więzów krępujących Erosa biurowego nie tylko wprowadza zamęt w pracy i wywołuje — słuszne — sarkania obserwatorów z zewnątrz, ale również powoduje rozliczne rozdźwięki w stosunkach koleżeńskich. O ile destrukcyjna działalność Erosa, przemawiająca się w formach omówionych przezemnie w poprzednich felietonach, może być zapisana na rachunek złych jednostek, z którymi walczyć można na drodze domagania się interwencji władz z zewnątrz, o tyle tutaj mamy do czynienia ze złem, które we własnym dobrze zrozumianym interesie usunąć muszą sami pracownicy.

Jedyną drogą do tego celu jest pogłębianie etyki zawodowej świata pracy. Brzmi to może nieco patetycznie i zarazem banalnie, ale wierzę, że nie jest to pusty frazes. Jeżeli znaczna część pracowników potrafi osiągnąć odpowiedni poziom w tej dziedzinie, narzuci swój sposób postępowania innym. Biuro ma być terenem pracy i tylko pracy. Nie ma w nim miejsca na więcej lub mniej poważne igraszki miłosne. Muszą to sobie pracownicy uświadomić, jeżeli nie chcą się narazić na zarzut niedojrzałości moralnej, oraz na nieprzychylność opinii.

Sprawa nie jest wcale taka trudna jakby się zdawało. Nikt bowiem nie wymaga od nikogo rezygnacji na rzecz pracy z przyjemności życia prywatnego. Chodzi tu tylko o rozdzielenie tych rzeczy. Chodzi o to minimum kultury, taktu i powagi, które pozwoli każdemu pracownikowi, przy dobrej woli naturalnie, izolować się w godzinach urzędowych od spraw ściśle osobistych. Chodzi o wytworzenie właściwej atmosfery stosunków koleżeńskich, któraby nie kolidowała z interesami biura i jego klijentów. A przede wszystkim nie powodowała wśród pracowników zadrażnień, nie mających nic wspólnego ze sprawami zawodowymi. Mam wrażenie, że usiłowania w tym kierunku nie będą bezowocne, o ile bowiem człowiek nie może się oprzeć działaniu instynktu w ogóle, o tyle leży w jego mocy, na pewnym poziomie moralnym, nadać mu właściwą formę w przejawach zewnętrznych.

A więc pomyślmy nad tą sprawą, ujmując ją w lapidarne hasło: pracujmy w biurze, a kochajmy się w domu!

P. S. — Bardzo byłbym wdzięczny Czytelniczkom i Czytelnikom, gdyby zechcieli nadesłać pod adresem redakcji lub moim (Zakopane, Rynek, dom miejski) swoie uwagi oraz materiały w sprawach poruszonych przeze mnie w trzech ostatnich felietonach „Echa".

Józef Czyściecki.

KRONIKA TEATRALNA

„Wojciech Bogusławski" w teatrze Narodowym. — Nowa sztuka Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej

W związku z uroczystością odsłonięcia pomnika Wojciecha Bogusławskiego, teatr Narodowy wznowił sztukę Wincentego Rapackiego (ojca) pod niezbyt udanym tytułem: „Bogusławski i jego scena". Dla niewiadomych przyczyn, odrzucono w tytule wyrazy: „i jego scena". Nie wiele to pomogło dla powodzenia sztuki. Wogóle mylnem było przypuszczenie, że podobny utwór można wygrywać przez kilka tygodni z rzędu; należało poprzestać na jednorazowym hołdzie scenicznym dla wielkiego twórcy teatru narodowego.

Publiczność warszawska, rozprawiająca żarliwie o teatrze nie zainteresowała się wcale widowiskiem. Jedno z pism przytoczyło rozmowę, zasłyszaną na Placu Teatralnym w dniu odsłonięcia pomnika Bogusławskiego. Elegancka młoda dama zwraca się do eleganckiego również towarzysza:

— Czyj to pomnik? Słyszał pan o takim?

— Nie mam najmniejszego pojęcia. Ktoś nieznany.

— Któż to może być? Czem się wsławił?

— Coś zaczynam sobie przypominać... To jakiś ksiądz... Napewno... Widzi pani zresztą, jaki wygolony i jakie nosi szaty duchowne...

W takiej atmosferze kulturalnej, „duchowna" osoba Bogusławskiego na afiszu teatralnym nie mogła stanowić atrakcji.

Sztuka Rapackiego napisana została przed pięćdziesięciu niemal laty. Ze względu na jej akcenty patriotyczne, nie dopuszczono jej do teatru Rozmaitości. Dopiero podczas t. zw. „dni wolnościowych", w r. 1905 wydobyto ją z zapomnienia i zgotowano jej przyjęcie niezwykle gorące, entuzjastyczne, nie mające zresztą nic wspólnego z jej wartością, nagół bardzo wątłą. Podkreślano hucznymi oklaskami takie wyrazy jak: **wolność**, takie zdania, jak: „rogatywka na głowie nie stanowi jeszcze dzielności patriotycznej" i t. d. W Polsce niepodległej hasła podobne straciły swój wyraz specjalny, tak ważny w dobie niewoli. Sztukę wystawiono z pietyzmem i — po kilku dniach — pogrzebano ją, pewno już na zawsze...

**
*

Urocza poetka, p. Maria Pawlikowska, stała się od kilku lat dosyć płodną pisarką teatralną. Komedje jej, pełne wdzięku, swawolnej gry słów, lekkich paradoksów, zawsze niezwykłe w pomyśle, zjednały jej szerokie koła wielbicieli, pomimo drobnych zastrzeżeń krytyki, nie zawsze zadowolonej z budowy niektórych fragmentów. Komedia „Dowód osobisty", wystawiona w teatrze Nowym, otrzymała nagrodę na konkursie Polskiej Akademii Literatury. Wyróżniono ją z pośród 283 nadesłanych utworów. Ujęła sędziów oryginalnością motywu zasadniczego, subtelnym dowcipem, odwagą w wiązaniu i rozwiązywaniu zatargów, a przede wszystkim — świeżością tonu. Przy czytaniu doznawaliśmy wrażenia, że jest to lekka komedja, wpadająca raz po raz w akcenty farsowe, pomimo płomiennego hymnu autorki na cześć miłości i jej troski o dziecko w małżeństwie. W teatrze te walory zmieniły się zasadniczo, podobno nie tylko z wiedzą, ale i z wolą autorki. Po pierwszym akcie, który wypełniły dialogi raczej szare, dynamika uczuć w sztuce wzrasta i dochodzi do napięcia dramatycznego. Wskutek tego momenty czysto farsowe zmieniły swą barwę: stały się nie tyle zabawne, ile dziwaczne. Jednolitość tonu osłabła, mieszanina rzeczy poważnych z rzeczami śmiesznymi, która stanowi zawsze największą oryginalność Pawlikowskiej, tutaj, w wykonaniu scenicznem zacierała się raz po raz, na niekorzyść śmiechu i uśmiechu.

Piękna i bogata Malwa, wyszła za mąż za zblazowanego, zdegenerowanego artystokratę Zebrzydowieckiego. Znęciły ją stosunki towarzyskie męża, a jednocześnie uległa namowom rodziców. Nie jest w tem małżeństwie szczęśliwa. Poznała przy konsultacji lekarskiej pełnego temperamentu Szymona Goryczkę, doktora medycyny, którego małżeństwo z zimną, obojętną i niemiłą Aldą nie ma również żadnych węzłów uczuciowych. Akcja komedii rozwija się na tle powikłań, w jakie wpadają obie te pary. Szymon usiłuje rozłączyć Malwę z Zebrzydowieckim i ożenić się z nią; ale dowiadują się oboje, że żona Szymona zaszła w ciążę. Nie wiedzą, że ojcem tego dziecka był... Zebrzydowiecki, przygodny kochanek pani Aldy Goryczkowej. Zachodzi również w ciążę Malwa, ale chociaż wie napewno, że Szymon jest ojcem tego dziecka, rezygnuje ze swoich praw moralnych do Szymona. Alda postępuje inaczej: udaje wobec Szymona, że dziecko, którego się spodziewa, będzie właśnie jego potomkiem. Jakże rozwikłać podobną sytuację? Dokonać tego zwykłymi środkami komediowymi nie byłoby łatwe. Obie pary musiałyby pozostać w swych dotychczasowych związkach małżeńskich i zamiast oryginalnej komedii, mielibyśmy rozłożoną na akty, dosyć zwyczajną przygodę życiową, opowiedzianą interesująco, okraszoną dowcipem. Pawlikowska odważyła się na pomysł osobliwy. W starej rodzinie Zebrzydowieckich stwierdzono oddawna, że wszyscy jej potomkowie męscy rodzą się z drobnymi pletwami u rąk. Należy więc stwierdzić de visu, który z noworodków posiada takie pletwy, aby ustalić jego niewątpliwe pochodzenie. Ustalaniem tego „dowodu osobistego" zajmują się w ostatnim akcie obie pary małżonków oraz ich rodziny. I czynią to wobec widzów. Okazuje się, że ojcem syna pani Aldy był nie kto inny, tylko Zebrzydowiecki. Szymon i Malwa nie mają już żadnej przeszkody do swego małżeństwa, toną we wzajemnem szczęściu.

Taki finał jest niewątpliwie farsowy. Ani reżyseria, ani podobno sama autorka nie chcieli się zgodzić na podobne określenie tonu sztuki. I stąd musiała wyniknąć pewna nieokreśloność wrażenia ogólnego. Pozostał jednak w całej swej krasie swobodny, świetny dialog; pozostały bez zmiany wyborne obserwacje charakterów i umiejętność tworzenia żywych ludzi, po których się poznaje prawdziwych pisarzów scenicznych. Piękny talent Pawlikowskiej rozwija się z każdym dniem; nieraz pewno jeszcze załamie się na szczegółach i „pomysłach" niezwykłych, ale dalej czarować będzie swym wdziękiem, swą subtelną grą pojęć, swym polotem i bujną wyobraźnią.

Śród wykonawców na pierwszym miejscu postawić należy Ćwiklińską, która grając dziewięćdziesięcioletnią „babkę rodu", podkreśliła znakomicie groteskowość postaci i dała jej wyraz fenomenalnej plastyki. Parę kochanków (Szymona i Malwy) grali z żarem uczucia pp. Damięcki i Gorczyńska. — P. Dulębianka (jako matka Zebrzydowieckiego) stworzyła jeszcze jedną odmianę postaci roztargnionych, pełnych wyrazu, w których celowała dotychczas.

J. L.

WŁADYSŁAW BURKATH

Rozmowa z Dyr. Jerzym Mazarakim

(Z okazji otwarcia sezonu operowego)

W dniu 15 b. m. otworzyły się podwoje odnowionego gmachu Opery Warszawskiej, aby pod nową dyrekcją służyć polskiej twórczości i polskim słuchaczom.

Opera warszawska... Ile w tych słowach mieści się wspomnień, a zarazem żywej, nie zniszczalnej treści. Od czasów Kamieńskiego, poprzez epokę Moniuszki aż do czasów najnowszych — do muzyki Szymanowskiego snuje się nić tradycji z operą naszą związanych. Gmach na Placu Teatralnym wiele pamięta... Raczej w swojej pracowni, niż w gabinecie przyjmuje mnie z miłym uśmiechem nowy dyrektor opery warszawskiej, p. Jerzy Mazaraki. Wygląda to raczej na namiot, rozbity na polu walki, niż na salon przyjęć. Bo też nie czas na salony. Teatr odnawia się dosłownie od fundamentów i montuje się artystycznie od wewnątrz.

— Repertuar, oto moja największa troska — mówi Dyr. Mazaraki. Od repertuaru należało, moim zdaniem, zacząć racjonalne podejście do słuchaczów.

Rozumiem — opera musi być przede wszystkiem operą, służyć celom dla których ją ongiś założono. Mówimy o premierze czwartkowej. Na wstępie dowiaduję się, ile trudów włożono w wystawienie „Strasznego Dworu". Kosztowało to o wiele więcej pracy, niżby się mogło zdawać. Poprostu dlatego, że okazał się brak... nut i „głosów" orkiestrowych, że uprzednio grano operę Moniuszki raczej „z pamięci", niż z partytury... W samem sercu Polski. Dziś dopiero opera Moniuszki odzyska formę, w jakiej ją podał w swoim czasie kompozytor. Mimowoli, słuchając tych słów przychodzą na myśl różne smutne epizody z życia Moniuszki, jego „historyczne" pokwitowania z odebranych zaliczek, ciągła walka z nędzą i... po dziś dzień brak bodajby skromnego pomnika w stolicy, którą tak ukochał.

Nie czas jednak na liryzm — rozmowa nasza musi płynąć wartko, gdyż czas ucieka, a co chwila ktoś odrywa dyrektora od wywiadu. Życie woła głośniej, niż telefon na jego biurku. Zapytuję na pierwszym planie o **stosunek dyrekcji do publiczności, w pierwszym rzędzie do sfer robotniczych i pracowniczych.** Dyrektor Mazaraki nie jest pytaniem tym zaskoczony. Wręcz przeciwnie — mówi na ten temat z głębokim przekonaniem. Pragnie gorąco, aby robotnik, żołnierz i pracownik umysłowy nie mijał Placu Teatralnego z zazdrością i z obawą o możność znalezienia się w teatrze. — Będę popularyzował przedstawienia operowe, mówi mój rozmówca: zacznę od „poranków" dla dzieci, które są wszakże zadatkiem naszej przyszłości. Dzieciom zwłaszcza należy się dobre i rozumnie wybrane widowisko, gdyż musimy je zjednać dla teatru. Dalej pójdą **przedstawienia dla robotników.** Chciałbym, mówi dyrektor, aby mogli oni zapełniać salę gromadnie na warunkach specjalnych, podobnie jak żołnierze. Przecież wojsko nasze rekrutuje się z całej Polski, od Kaszubów do Huculszczyzny. Każdy z nich, poznawszy operę z naszej sceny będzie mógł później zanieść te wspomnienia swoim najbliższym do najdalszych zakątków kraju a temsamem stanie się pionierem kultury muzycznej na wsi.

Zapytuję następnie o stosunek Dyrekcji do pracowników umysłowych zrzeszonych w związki oraz do szkół, zwracam przytem uwagę na konieczność poczynienia im również daleko idących ułatwień. Przypominam sobie, jak podczas niedawnej mej podróży do Moskwy obserwowałem publiczność sowiecką w operze, bądź u Stanisławskiego. Słuchali oni z zapartym tchem a zarazem z jakiem przygotowaniem! Sale wypełniali wszak wyłącznie robotnicy fabryczni, ci sami, których spotykałem gdzieindziej na „dyskusyjnych" koncertach.

Czas najwyższy wykształcić i u nas **dobrą publiczność.** Czas skończyć z podziałem sztuki na szczeble. Należy ją natomiast zbliżyć do mas najszerszych i rozumnie spopularyzować. Należy zwrócić baczniejszą uwagę na program, w którym powinien się znaleść krótki, treściwy rozbiór opery i życiorys jej kompozytora. Dobrze zrobiłyby, moim zdaniem, pogadanki w Radio na parę dni przed premierą, ewentualnie syntetyczne „słowo wstępne" z przed rampy. Tak, jak i w innych krajach, zwłaszcza na Łotwie. W tych krajach, jakże małych w porównaniu z 30-kilkomiljonową Polską istnieje po parę scen operowych (nadto — upaństwowionych!) a stosunek do teatru przypomina mi czasy dawnej Grecji.

To, co dyr. Mazaraki planuje dla szerokich sfer naszego społeczeństwa, zapisuję sobie w pamięci mocniej, niż szczegóły repertuaru. Zresztą jedno i drugie — treść sezonu operowego i jego udostępnienie są równie ważne. „Loteria" Moniuszki, premiera nieznanej opery Wertheima, czy „Harnasie" Szymanowskiego — wszystko to świadczy, że obecna Dyrekcja Opery Warszawskiej rozumie należycie zadania, jakie nakłada na nią półtora wieku istnienia pierwszej sceny polskiej.

Dyrektorowi Mazarakiemu życzyć należy, aby obietnice odnośnie treści i formy zamierzonej przezeń pracy stały się faktem. Będzie to wówczas żywy pomnik, wzniesiony Stanisławowi Moniuszce.

Władysław Burkath

Kol. Antoni Kubik

dyrektorem U. S. w Gnieźnie

Śpieszymy z prawdziwą radością zakomunikować naszym czytelnikom, że członek Zarządu Głównego naszego Związku, kol. Antoni Kubik, został mianowany ostatnio dyrektorem Ubezpieczalni Społecznej w Gnieźnie. Kol. Kubik doniedawna był prezesem Oddziału naszego Związku w Grodzisku Wlkp.

Długoletnia praca w instytucjach ubezpieczeń społecznych, ostatnio na stanowisku kierownika działu ubezpieczeniowego w Grodzisku, daje rękojmię, że nowy dyrektor gnieźnieńskiej ubezpieczalni społecznej, sprosta całkowicie zadaniom, jakie wkłada na Niego nowe odpowiedzialne stanowisko. Ze swej strony przesyłamy kol. dyrektorowi Antoniemu Kubikowi serdeczne życzenia owocnej pracy.

CENY OGŁOSZEŃ: Za miejsce wysokości 1 milimetra w jednej szpalcie: na str. 1-ej zł. 1.—; w tekście 70 gr.; za tekstem 50 gr. **Nekrologi** po 20 gr., najmniejszy nekrolog 20 zł. Ogłoszenia cało i półstronicowe wg. cen specjalnych. Ogłoszenia tabelaryczne o 25% drożej. Ogłoszenia w kolorze o 50% drożej. Nieumieszczenie ogłoszenia nie obowiązuje Administracji do podawania powodów. **Redakcja rękopisów nie zwraca.**

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. **PRENUMERATA: roczna zł. 4.50.** Konto wydawcy w P. K. O. 21670.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, Marszałkowska 83, tel. 729-40.**

Redaktor Naczelny i odpowiedzialny: **Juliusz Domański.** Wydawca: **Zarząd Główny Zw. Zaw. Prac. Ubezp. Społ. w Polsce**

3115 Zakłady Drukarskie W. Piekarniaka, Warszawa, Okólnik 10. Tel. 644-59 i 592-40.